

John J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*, tłum. Piotr Nowakowski, Jan Sadkiewicz, Kraków 2019, Universitas, ss. 507, mapy

Praca Johna J. Mearsheimera warta jest zrecenzowania przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, z uwagi na spójność i sugestywność swego przesłania opartego na masie nagromadzonych faktów. Po drugie, ze względu na autora, wpływowego profesora nauk politycznych na Chicago University, reprezentującego sposób myślenia wpływowy i ważący w Stanach Zjednoczonych, czyli ciągle w jednym światowym supermocarstwie.

*Opus magnum* Mearsheimera nie jest, jakby mogło się wydawać, historią stosunków międzynarodowych, a więc pracą podobną do głośnych (i wydanych u nas) *Mocarstw świata* Paula Kennedy'ego i wyraźnie nawiązującego do tej ostatniej pracy *Tańca mocarstw* Brendana Simmsa. Pomijając fakt, że wspomniani dwaj badacze zajmowali się połową ostatniego tysiąclecia, a Mearsheimer jedynie ostatnim dwusetleciem, uczony z Chicago postawił sobie inny cel. Mimo bogactwa tabel, liczb i map próżno u niego szukać chronologicznej, systematycznej opowieści o rywalizacji mocarstw jako takiej. Nie jest to w żadnej mierze podręcznik historii, nawet specyficzny. To raczej prezentacja pewnej teorii stosunków międzynarodowych stanowiącej wedle autora klucz do polityki mocarstw.

Swą teorię Mearsheimer nazwał realizmem ofensywnym. Pesymistyczna w wymowie (autor nieustannie smaga swych oponentów liberałów za nieuzasadniony – jak uważa – optymizm) sprowadza się ona do poglądu, że mocarstwa skazane są na wieczną rywalizację i szukanie co najmniej lokalnej hegemonii. Nic bowiem (wywodzi) – prócz niemożliwej do stworzenia ponadpaństwowej władzy arbitrażowej – nie może zapewnić im poczucia bezpieczeństwa. Konflikty, przeradzające się niekiedy w wojny, są nieuniknione; twierdzenia o „końcu historii” i wygasaniu tarć z powodu stabilizujących, ponadnarodowych więzi (choćby handlowych) stanowią mrzonkę. Ustrój demokratyczny nie jest tu żadnym zabezpieczeniem: demokracje (przynajmniej wobec państw o innym ustroju) są równie wojownicze jak autokracje. Nad różnicami ustrojowymi i ideologicznymi autor zresztą z zastanawiającą konsekwencją przechodzi do porządku dziennego. Podkreśla, że na rozumienie własnej racji stanu nie mają one żadnego wpływu. U swych rodaków piętnuje „nieustanną skłonność do moralizowania” i związane z tym dzielenie państw na dobre i złe. „Stricte realistyczna analiza zimnej wojny nie wymaga odróżnienia motywów, jakimi kierowały się w tym kontekście Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Zdaniem realistów działania obu stron wynikały z troski o równowagę sił, a każde z supermocarstw robiło co mogło, dla maksymalizacji własnej względnej potęgi” (s. 32). „Nie uważam za istotne, czy w 1905 r. Niemcami

urządził Bismarck, cesarz Wilhelm czy Adolf Hitler oraz czy w kraju tym panował ustroj demokratyczny czy autorytarny. Z punktu widzenia realizmu ofensywnego liczyła się przede wszystkim relatywna siła Niemiec” (s. 12). Mearsheimer z pewnością przyklasnąłby opinii, wyrażonej przez pewnego polskiego polityka, że Niemcy za cesarstwa, III Rzeszy i demokratycznej republiki federalnej tak samo zwalczały Serbię.

Te uwagi na temat „nagiego realizmu” zbliżają amerykańskiego autora do sposobu rozumowania szkoły Bismarcka, a w Polsce – Romana Dmowskiego. Zapewne nie bez powodu dzieło Mearsheimera wydała w naszym kraju oficyna Universitas, która niemal jednocześnie – w tej samej serii „Historia-Polityka” – opublikowała prace Adolfa Bocheńskiego i Władysława Studnickiego. Współautor przekładu, wicedyrektor Universitas Jan Sadkiewicz jest, nawiasem mówiąc, autorem ciekawej pracy „*Ci, którzy przekonać nie umieją*”. *Idea porozumienia polsko-niemieckiego w publicystyce Władysława Stadnickiego i wileńskiego „Słowa” (do 1939)* (Kraków 2012).

Warto w tym miejscu nadmienić, iż John J. Mearsheimer napisał specjalną – i niebanalną – przedmowę do wydania polskiego swego *opus magnum*, co jest gestem nieczęsto spotykanym wśród Amerykanów niemających uczuciowych związków z naszym krajem. Uznał w niej Polskę, obok Korei, za „jeden z dwóch krajów, które w ciągu ostatnich dwustu lat były najbardziej narażone na agresję” (s. V), a to z powodu podobnie niefortunnego położenia w sąsiedztwie trzech wielkich mocarstw. Zauważyć wypada, że porównanie to nie jest do końca trafne. Korea straciła w pewnym momencie niepodległość (na okres, bądź co bądź, trzykrotnie krótszy od Polski, a gdyby za brak niepodległości uznać czasy PRL, na ponad czterokrotnie krótszy), ale nigdy nie została podzielona między sąsiadów; przypadek Rzeczypospolitej pod tym względem stanowił fenomen. Gdy zaś Półwysep Koreański rozdzieliła linia demarkacyjna, przedzielone nią twory były organizmami całkowicie suwerennymi.

Potężny wolumin Mearsheimera zawiera niewiele błędów merytorycznych. Świadczy to z pewnością dobrze o warsztacie autora, acz należy pamiętać, że przyjęty przez niego sposób wykładu, stroniący od szczegółowego opisu wydarzeń, powoduje, że w książce pojawia się stosunkowo niewiele nazwisk, nazw geograficznych czy dat dziennych (indeksy, nazwisk i nazw geograficznych są owszem, obszernie, ale umiarkowane jak na tom liczący, bądź co bądź, pół tysiąca stron). Autor np. wyraźnie nie wie, na czym polegała napoleońska blokada kontynentalna, pisząc o niej w kontekście „cierpień powodowanych brakiem żywności” (s. 118). Tymczasem Napoleon zezwalał (udzielając specjalnych licencji) na sprzedaż żywności do Anglii; blokada miała w jego zamyśle drenować Wyspy Brytyjskie finansowo.

Do poważniejszych, bo *stricte* faktograficznych, a charakterystycznych niestety dla historiografii anglosaskiej, potknięć należy przekonanie, iż Japonia w 1938 r. przegrała konfrontację graniczną ze Związkiem Sowieckim w rejonie Changkufeng (w Rosji epizod ten znany jest jako starcia nad jeziorem Chasan). Autor wspomina o tym kilkakrotnie (s. 221, 267, 314), nie sięgając wszakże ani do prac rosyjskich, ani japońskich (nawet tłumaczonych). W rzeczywistości sowiecki korpus, wsparty przez czołgi i samoloty, skompromitował się wówczas, powstrzymany przez dwa japońskie pułki bez konieczności ściągania dodatkowych sił czy ciężkiej broni. (Inna rzecz, że Tokio wyciągnęło z tego rezultatu nadmiernie optymistyczne wnioski). Gdyby Mearsheimer przeczytał znakomitą (*nota bene* zaopatrzoną w angielskie streszczenie...) pracę Jakuba Wojtkowiaka, *Polowanie na „dalniewostoczników”*. *Represje wobec korpusu oficerskiego dalekowschodniego zgrupowania radzieckich sił zbrojnych w latach 1937–1939* (Poznań 2007), nie napisałby też zapewne, iż czystki w wojskach na Dalekim

Wschodzie „nie były [...] prowadzone z taką samą zaciekłością jak w pozostałych ugrupowaniach Armii Czerwonej” (s. 314–315). Nie jest prawdą, iż USA uczestniczyły w latach 1941–1946 w okupacji południowego Iranu (s. 243). Autor słusznie wspomina na s. 392 o wspieraniu Mao Zedonga przez Stalina w czasie chińskiej wojny domowej (1946–1949), natomiast eufemizmem jest jego twierdzenie, jakoby „jednocześnie Stany Zjednoczone zapewniały niewielką pomoc siłom narodowym” (ibidem). W istocie USA ogłosiły wówczas embargo na dostawy broni dla Czang Kaj-szeka; wywody autora na ten temat są całkowicie chybione. Interwencji w Rosji nie stoczyli „szeregu krótkich, lecz zaciekłych walk z bolszewikami” (s. 422); walk takich nie było prawie wcale. Wywodząc „gdyby Finlandia lub Jugosławia wykazały chęć dołączenia do NATO, prawdopodobnie zostałyby najechane przez Armię Radziecką” (s. 246), autor najwyraźniej nie wie, że w 1952 r. Tito zawarł sojusz z Grecją i Turcją, ówczesnymi członkami NATO.

Zasadniczo jednak potknięcia dotyczą raczej interpretacji wydarzeń niż faktów jako takich, trudno jest więc zaliczyć je *stricte* do kategorii błędów. Jak większość badaczy anglosaskich, Mearsheimer konsekwentnie informuje, iż Polska „napadła” na Rosję w 1920 r. (s. 87, 158, 230, 238), przy czym z kontekstu wynika, że w owym roku zaczęła się wojna polsko-bolszewicka (acz raz jeden [s. 422] podaje jej prawidłowe daty, 1919–1920, co oznacza nieuchronnie, iż Warszawa nie mogła w 1920 r. wojny rozpocząć). Nie potępia zresztą z tego powodu Polaków, zgodnie ze swoją zasadą, że zwycięzców się nie sędzi. Można, naturalnie, wywodzić, że jeśli w latach 1919–1920 legalne były granice z 1914 r., to rząd warszawski dopuścił się agresji *ipso facto* przez to, że rezydował w mieście będącym stolicą rosyjskiej guberni. Jeśli jednak Amerykaninowi o to nie chodziło (a chyba jednak nie), zaś rozbiory były nielegalne, to Polacy przed kampanią 1920 r. nawet nie przekroczyli granic sprzed pierwszego rozbioru, a więc nie mogli na Rosję napaść. W istocie Mearsheimer, jak prawie wszyscy historycy zachodni, utożsamia „Polskę” sprzed 1914 r. z Królestwem Kongresowym; w takim razie wszelkie próby wyjścia poza ten obszar postrzegane być muszą jako objaw niecznego imperializmu.

Amerykański autor powtarza kilkakrotnie, naturalnie za cytowaną (anglojęzyczną lub na język ten przełożoną) literaturą przedmiotu, że dla międzywojennej Francji pożyteczne byłoby antyniemieckie porozumienie z Moskwą i zastanawia się, dlaczego go nie zawarto. Píše o Stalinie, który kierował się w tym czasie (podobno) strategią przerzucania odpowiedzialności, a także o tym, iż w Paryżu nie doceniano zagrożenia, skoro armia III Republiki była do 1939 r. najpotężniejsza w Europie (to prawda!), wreszcie kilka razy zauważa, iż decydenci francuscy (i brytyjscy) jakoby „liczyli, że Hitler uderzy najpierw na Związek Radziecki” (s. 375; por. też: s. 195, 379). Umyka jego uwadze – co kuriozalne – iż w okresie międzywojennym sojusz francusko-sowiecki jednak... zawarto. Stało się to 2 V 1935 r. Układ ten był właściwie od początku martwą literą, bowiem ZSRR nie posiadał z Niemcami wspólnej granicy. O problemach wynikających z braku takiej granicy Mearsheimer *nota bene* w kilku miejscach wspomina. W takim razie jednak i on, i wszyscy zwolennicy poglądu o rzekomej chęci „skierowania Hitlera na wschód” przez Paryż (i Londyn) muszą nieuchronnie zakładać, iż mocarstwa zachodnie pchały wówczas Warszawę do zawarcia sojuszu z Berlinem (i, *ipso facto*, do demontażu jej sojuszu z Paryżem), bo wszak tylko tą drogą Rzesza Niemiecka mogła przed wrześniem 1939 r. osiągnąć terytorium ZSRR. Sformułowanie *explicite* owej myśli wystarcza dla obnażenia całej groteskowości wspomnianej teorii.

*Tragizm polityki mocarstw* oparty jest na imponującej literaturze przedmiotu, w tym (co istotne) na artykułach w czasopismach specjalistycznych. Pochwała ta

wymaga jednak dwóch zastrzeżeń. Po pierwsze, właściwie wszystkie pozycje, do których odwołuje się autor, są anglojęzyczne. (Znalazłem tylko jeden wyjątek [s. 377, przypis 9], ale chodzi o pracę zawierającą dane statystyczne). Badacze publikujący w tym języku reprezentują wprawdzie olbrzymi wachlarz zainteresowań, ale mimo wszystko istnieją kwestie, którymi historycy publikujący w mowie Shakespeare'a mało się zajmują. Gdyby autor znał prace niemieckojęzyczne, nie artykułowałby, na przykład, obiegowego wśród historyków anglosaskich poglądu, jakoby rola armii austro-węgierskiej była w I wojnie światowej bez znaczenia, a armia ta stanowiła dla Niemiec „raczej obciążenie niż atut” (s. 87). (By zbliżyć się do prawdy, wystarczy zajrzeć choćby do znanych wspomnień gen. Maxa Hoffmana; dla anglosaskich geopolityków monarchia Habsburgów stała się wszelako bez mała *terra incognita* po jej wycofaniu się z Italii w 1866 r.). Badacze anglosascy nieczytający po francusku reprezentują też specyficzny stosunek do Napoleona i jego polityki. Abstrahując od (skądinąd widocznego) braku sympatii wobec cesarza, przeceniają rolę wydarzeń na Półwyspie Iberyjskim w klęsce Bonapartego (bo tylko na tym terytorium walczyły wojska brytyjskie), zaś konflikt francusko-rosyjski postrzegają jako element rozgrywki z Albionem.

Po drugie, wydaje się więcej niż pewne, iż sporą część przywoływanej w przypisach literatury autor gromadził nie osobiście, ale za pośrednictwem zespołu sekretarzy i współpracowników. (Jest to zjawisko coraz częstsze, choć tylko niektórych – jak Henry'ego Kissingera – stać na obwieszczenie o tym *expressis verbis*). W dobie Internetu i wobec ogromu anglojęzycznego piśmiennictwa łatwo w ten sposób nagromadzić oszalałymi rozmiarami bibliografię. Nie twierdzę, iż Mearsheimer w ogóle nie miał w ręku większości przywoływanych pozycji – twierdzenie takie byłoby to dla niego krzywdzące – ale na pewno korzystał z nich nader wybiórczo. Niektóre z przywoływanych pozycji (wydany także w Polsce Kenneth Macksey jako biograf i interpretator Guderiana, studium Anthony'ego Rada i Davida Fishera o współpracy niemiecko-sowieckiej, kuriozalne tomy Bruce'a Cumingsa o genezie wojny koreańskiej, prace o stosunku USA do chińskiej wojny domowej pochodzące z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX w., itd., itp.) wydają się bowiem przypadkowe i po prostu słabe.

Uczciwie trzeba jednak stwierdzić, że wobec ogromu zagadnienia potknięć takich nie można uniknąć. Książka, o której mowa, nie jest podręcznikiem stosunków międzynarodowych, ale służyć ma wyłożeniu pewnej teorii pretendującej do miana uniwersalnej. Skupianie się na drobnych usterkach w wypadku recenzenta byłoby równie małostkowe, jak w wypadku słynnego dzieła Richarda Pipesa *Rosja carów*, poświęconemu genezie ustroju patrymonialnego w Rosji, koncentrowanie się na problemie, „czy Andrzej Bogolubski był ojcem czy dziadkiem Aleksandra Newskiego”.

Problem polega na czym innym. Zapatrzony w mocarstwa rozstawione na światowej szachownicy John J. Mearsheimer, jak wielu teoretyków stosunków międzynarodowych, ignoruje zupełnie kwestie ideologiczne, a także czynnik personalny i po prostu przypadkowy. Krótko stwierdza, że „realizm ofensywny – jako teoria polityki międzynarodowej – pomija wpływ ideologii (jakichkolwiek) na zachowania państw” i przyznaje szczerze: „niewiele miejsca poświęcam wpływowi jednostek” (s. 473 i 12). Prawda: historycy i politolodzy niechęący, by ich dziedzinę badań uznano za „nienaukową”, nie lubią mówić o przypadku i wpływie wybitnych indywidualności. Amerykański badacz doskonale wie, jaką rolę przypisuje się motywacji ideologicznej w poczynaniach francuskich jakobinów, rosyjskich bolszewików czy choćby Adolfa Hitlera. Niejako ostentacyjnie (por. s. 38) pomija jednak te sprawy. W tym aspekcie reprezentuje myślenie podobne jak Albert Sorel, uważający, iż jakobiński

Komitet Ocalenia Publicznego w swej polityce zagranicznej kontynuował wytyczne Ludwika XIV, a Napoleon wytyczne Komitetu.

Ciekawe, że Mearsheimer niemal nie wspomina o rozbiorach Polski (traktowanych jako problem współpracy i rywalizacji między mocarstwami), choć ramy chronologiczne jego pracy, zaczynającej się od wybuchu wojen rewolucyjnych w 1792 r., jak najbardziej obejmują owo zagadnienie wywracające zupełnie porządek europejski. Otóż „realizm ofensywny” sugerowałby czytelnik, iż Rosja powinna była nie dopuścić do zniknięcia swego słabego sąsiada. Wszak rozbiory nie tylko ograniczały rozmiary jej wpływów na zachodzie, nie tylko przesunęły terytoria dwóch mocarstw germańskich w pobliże jej granic (doprowadzając w końcu do powstania granicy wspólnej), ale także odciągały Berlin i Wiedeń od użytecznego zwalczania rozsądnika jakobinizmu na Sekwaną. Jeśli powodem postępowania Katarzyny II były pogarda dla Stanisława Augusta i osobista nienawiść do przywódców Sejmu Czteroletniego, to władczyni kierowała się czynnikami irracjonalnymi, a nie rosyjską *raison d'état*. Jak wiadomo, Paweł I mówił poniewczasie, że gdyby zasiadł na tronie przed 1793 r., nie dopuściłby do rozbioru. Niespodziewana śmierć Leopolda II, niechętnego rozbiorowi jednego z największych władców Austrii, zapewne miała też wpływ na postępowanie Wiednia. Wszystko to wskazuje na rolę czynnika osobistego i przypadkowego, traktowanego przez Mearsheimera niemal *per non est*.

Nad sprawą tą trudno przejść do porządku dziennego. Przykładowo wiadomo, iż objęcie władzy w Petersburgu przez Piotra III w 1762 r. spowodowało nagle i szokujące wycofanie Rosji z koalicji, która niemal już odniosła zwycięstwo nad Prusami; mało tego, imperator zaoferował pomoc swych wojsk właśnie Prusom. Jest oczywiste, że gdyby nie Hitler, wojna niemiecko-sowiecka w ogóle by nie wybuchła, a przynajmniej nie wybuchłaby z inicjatywy Berlina; politycy niemieccy kontynuowaliby – szykując wojnę odwetową z Francją – kooperację z Kremlem, tak owocną wszak w dobie Republiki Weimarskiej. Gdyby nie rewolucyjny wybuch nad Sekwaną, u schyłku XVIII w. nie doszłoby wcale do wojny Francji z Europą. (*Nota bene* Mearsheimer napomyka kilkakrotnie, iż Austria i Prusy „wytoczyły Francji wojnę w roku 1792” [s. 417], uważając ją za słabą, gdy w rzeczywistości wojnę Austrii – konkretnie „królowi Czech i Węgier” – wydali 20 kwietnia rewolucjoniści, podobno i po to, by podsyć wygasające w kraju nastroje radykalne). Wojny rewolucyjne wygasłyby jednak definitywnie po zawarciu na początku XIX w. przez pierwszego konsula szeregu traktatów pokojowych. Wypadki potoczyły się inaczej, gdyż *idée fixe* monarchów stało się pozbawienie tronu „korsykańskiego uzurpatora” Napoleona. Wedle zasad „realizmu ofensywnego” Rosja powinna była wówczas dążyć do dzielenia się wpływami na kontynencie z Francją, która przed 1805 r. nie wyrastała jeszcze na supermocarstwo, za to szachowała położone między Paryżem a Petersburgiem mocarstwa germańskie. Jako jedyna mogła też rzucić wyzwanie Wielkiej Brytanii, na której uciążliwą przewagę na morzach carat nic nie mógł poradzić. W rzeczy samej cesarz Paweł I (bezsensownie uważany przez gros historiografii za szaleńca) podjął próbę kooperacji z pierwszym konsulem. Jego syn i następca (oraz zabójca), Aleksander I całkowicie przestawił jednak wytyczne, doprowadzając do wojny w 1805 r., po pogromie odmawiając zawarcia pokoju, a po kolejnej klęsce sabotując zawarty traktat i planując wojnę odwetową, czego skutkiem stała się konfrontacja w 1812 r. Historiografia (w tym polska) podkreśla, chyba nawet przesadnie, iż Napoleon gotów był zawsze do porozumienia z Rosją. Przekreśliła to osobowość Aleksandra I. Tymczasem autor albo ignoruje te kwestie, albo rozprawia się z nimi inaczej, tak jak na s. 309, gdzie informuje, iż wobec III Rzeszy „zmiana postawy USA nastąpiła w połowie 1940 r., gdy Niemcy zadali zdecydowaną klęskę

Francji”. Postawy USA czy postawy Roosevelta? Czy gdyby w Białym Domu zasiadał prezydent-izolacjonista, ów przełom miałby miejsce?

Mearsheimer chętnie wyśmiewa – jak już wspomniano – puste, a szumne deklaracje demokratycznych rządów, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Niemal zawsze ma rację. Zdaje się jednak zapominać, iż w warunkach demokracji opinia publiczna – ograniczająca działania polityków, a niekiedy o takowych przesądzająca – istnieje równie realnie, jak dywizje wojska czy arsenały nuklearne. Gdy w 1938 r. w Monachium Francja uchyliła się od wojny z Niemcami – łamiąc zdradziecko zobowiązania sojusznicze wobec Czechosłowacji – premier Édouard Daladier wiedział doskonale, iż popełniono fatalny błąd. (Na widok witających go w Paryżu wiwatujących tłumów miał warknąć „cholerni głupcy”). Mimo tego „realizmu poglądów” zwyczajnie nie był w stanie sprzeciwić się rodakom (i podlegającym takim samym naciskom brytyjskim sprzymierzeńcom). Przywódcy mocarstw nie zawsze są w stanie realizować nakazy „realizmu ofensywnego”, nawet gdy je dostrzegają. Cóż jednak zrobić, gdy ich nie dostrzegają, mimo że *post factum* wpływowi profesorowie uznają je za oczywiste? Przykładowo Mearsheimer obszernie opisuje inkubację w XIX w. ogromnej potęgi USA, które w trakcie owego stulecia zdominowały półkulę zachodnią. Słusznie stwierdza przy tym, iż w owym wieku czołową potęgą była Wielka Brytania, w istocie wówczas jedyne mocarstwo naprawdę światowe. Dlaczego jednak Brytyjczycy nie zmiażdżyli przewencyjnie Stanów Zjednoczonych w czasie, gdy względnie łatwo mogli to uczynić, zwłaszcza podczas stanowiącej wręcz bajeczną okazję wojny secesyjnej? Uczony z Chicago niemal prześlizguje się po owej kapitalnej kwestii, co u badacza anglosaskiego jest osobliwością. Raz tylko – na s. 435, i to w przypisie! – zamieszcza wyjaśnienie, które właściwie stanowi przyznanie się do bezradności. Oto Wielką Brytanię „bardziej niż wydarzenia na półkuli zachodniej zajmowały [...] relacje z pozostałymi mocarstwami Europy”. Czemu jednak mocarstwo zainteresowane głównie bezpieczeństwem zamorskiego imperium poniechało sprawę najważniejszej, skupiając się na sprawach stosunkowo drobnych (np., acz o tym autor nie pisze, na kwestii polskiego powstania styczniowego)? Otóż brytyjska opinia publiczna nigdy nie zaaprobowała by interwencji przeciw państwu toczącemu wojnę na rzecz (jak powszechnie, acz błędnie przyjmowano) uwolnienia niewolników. Konfederacja musiałaby przed interwencją niewolnictwo znieść (do czego zresztą Londyn ją namawiał). Co więcej jednak, ówczesni decydenci z Whitehallu nie postrzegali w USA zagrożenia. Mimo tych czy innych zastrzeżeń w Amerykanach widziano „braci jednej krwi”, niemal nieformalnych członków imperium, których tylko „przykre nieporozumienie” wypchnęło poza granice wspólnoty brytyjskiej. (Na ten temat istnieje zresztą ogromna literatura). Innymi słowy, w Londynie (i nie tylko) nie pojmowano założeń „realizmu ofensywnego”.

Mearsheimer, co trzeba mu zaliczyć na plus, dostrzega problem polegający na tym, że Wielka Brytania i USA – mocarstwo najpotężniejsze gospodarczo przez większość XIX w. i mocarstwo, które z brytyjskich rąk przejęło w tej dziedzinie palmę pierwszeństwa – nie próbowały zdominować Europy (*casus* brytyjski) ani przynajmniej wysłać na ten kontynent wojsk przed 1914 r., aby przywrócić zachwianą równowagę. (Stawia te pytania już na początku książki, na s. 8). Jego odpowiedź – klasyczna poprawka do przyjętego paradygmatu – polega na zaakcentowaniu roli przeszkody wodnej. Oto Wielka Brytania jest wyspą, a USA – „wyspą w praktyce”, więc przetrwanie sił przez przeszkody wodne okazałoby się dla tych mocarstw niezmiernie kłopotliwe. Z dziejów wojen rewolucyjnych i napoleońskich Mearsheimer przytacza przykłady fatalnie przeprowadzonych przez stronę brytyjską desantów, zaznaczając,

iż te udane (w Egipcie w 1800 r. czy na Krymie w 1854 r.) miały miejsce albo wobec przeciwnika zdemoralizowanego, albo niezdolnego strzec długiej linii wybrzeża. Ale przez cały wiek XIX Brytyjczycy (nazbyt pochopnie uznawani za tych, którzy nie zawierają aliansów w czasie pokoju) pozostawali w sojuszu z Portugalią; czyż nie mogli wysadzić tam, kiedy tylko chcieli, stworzonej zawczasu na swej wyspie wielkiej armii? Ostatecznie zrobili tak przecież w 1808 r., rozpoczynając kampanię, która wyparła Francuzów za Pireneje. Zapytać też można, dlaczego nie poszukali sobie innego alianta-przyczółka (np. Holandii lub Danii)? W rzeczywistości przeszkoda wodna się liczyła, ale w innym sensie. Uznawana za arcybarykadę, umacniała oba mocarstwa anglosaskie w ich polityce *splendid isolation*. I Londyn, i Waszyngton – pierwszy w Europie, drugi poza półkulą zachodnią – uprawiały „imperializm nieterytoryalny”. Ich przywódcy rozumowali inaczej niż rosyjscy czy niemieccy.

W ostatnim rozdziale, będącym próbą prognozy na przyszłość, autor usiłuje odpowiedzieć na pytanie, do czego doprowadzi zarysowująca się coraz czytelniej rywalizacja USA i Chin. (Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż głośny Samuel Huntington zapowiadał zbrojne zderzenie tych potęg w 2010 r.). Jest to, jak w całym dziele Mearsheimera, mieszanina sądów błyskotliwych i bardzo dyskusyjnych. Ma niemal w stu procentach rację, wyszydając rzekomy „konfucjański pacyfizm” i wiare, że ożywiona współpraca handlowa wykluczy wojnę. (W tym kontekście przypomina – w innym miejscu, na s. 484 – jak ścisłe więzy handlowe łączyły mocarstwa przed 1914 r.; przecenia tu jednak wpływ antagonizmu brytyjsko-niemieckiego na wybuch wojny). Przepowiada też, jak się wydaje trafnie (bo na razie nie sposób tego zweryfikować), iż rosnąca potęga Pekinu skłoni słabszych sąsiadów ChRL do współpracy z Białym Domem. W wypadku Singapuru, Indii, Indonezji, a nawet Wietnamu (tak!) symptomy takiego zwrotu już widać. Mearsheimer, nader logicznie, ale tylko logicznie, zalicza też do tego grona Rosję (s. 431, 456). Niestety, wszelkie posunięcia Moskwy (por. choćby: Michał Lubina, *Niedźwiedź w cieniu smoka. Rosja-Chiny 1991–2014*, Kraków 2014) ukazują zjawisko nielogiczne, ale za to konsekwentne – rosyjską chęć współpracy z Pekinem przeciw Waszyngtonowi. Ponieważ za zepchnięcie Rosji do roli mocarstwa drugorzędnego w lwiej części odpowiedzialna jest właśnie ChRL, fenomen ten należy powiązać z czynnikami irracjonalnymi – faktem, że Chińczycy, jako komuniści, nie świętowali upadku ZSRR i nie robili władzom na Kremlu wykładów o prawach człowieka. Nawiasem mówiąc, „realizm ofensywny” jasno nakazuje mocarstwu współpracę ze słabszym sąsiadem przeciw silniejszemu, z czego wynika, że Rosja powinna popierać Japonię przeciwko Chinom. Jest jednak odwrotnie...

Jako obywatel kraju, w którym elita polityczna pokrywa się w znacznym stopniu z elitą biznesową, Mearsheimer przecenia też ogromnie wpływ czynnika gospodarczo-finansowego na politykę mocarstw. Oczywiście w erze nowożytnej możliwości wojskowe potęg zależą w sposób trudny do przecenienia właśnie od tej sfery: pytanie tylko, na ile determinuje to poczynania ich przywódców? Przykładowo autor *Tragizmu polityki mocarstw* kilkakrotnie akcentuje rolę lat 1902–1903, kiedy to (jakoby dopiero wtedy, s. 363, 416, 418) gospodarka cesarskich Niemiec przegoniła gospodarkę brytyjską. Mniejsza już o to, że wiele źródeł (choćby autorzy cytowani przez Kennedy'ego) twierdzi, iż owa zmiana ról nastąpiła znacznie wcześniej, może jeszcze w latach osiemdziesiątych XIX w. Problem jednak w tym, czy decydenci w Poczdamie, śledzący raczej liczbę dywizji niż wskaźniki produkcyjne, zarejestrowali coś istotnego w 1902 r. (poza podpisanym wtedy sojuszem anglo-japońskim). Jeszcze bardziej ów sposób myślenia daje o sobie znać w rozważaniach o potędze sowieckiej w latach trzydziestych, którą

Mearsheimer uważa za „zacznie potężniejszą gospodarczo i militarnie od carskiej Rosji” (s. 384, także 386; dowodem tej przewagi ma być klęska Rosji z rąk Japonii w latach 1904–1905 [s. 364] – w takim razie czego dowodzi przebieg wojny fińskiej?). Otóż – abstrahując od prawdziwości faktu samego w sobie – autor jest przekonany, iż Francuzi i Brytyjczycy podzielali jego mniemanie. Dlaczego w takim razie – istnieje na to mnóstwo dowodów – uważali ówczesną Armię Czerwoną za słabszą od armii polskiej? Dlaczego w okresie „dziwnej wojny” mniemali, iż operacje przeciwko kooperującemu wtedy z Hitlerem Stalinowi będą łatwiejsze niż przeciw III Rzeszy?

Odpowiedź jest prosta: aliancy eksperci, rozważając różne opcje, brali pod uwagę nie tylko liczbę czołgów i samolotów, ale i wpływ stalinowskich czystek, doświadczenie bojowe oficerów, poziom umysłowy marszałków Woroszyłowa i Budionnego, potem także doświadczenia wojny fińskiej. Dotyczyło to naturalnie nie tylko Rosji. Na s. 363 autor cytuje aprobatywnie opinie, iż przed 1914 r. eksperci wojskowi „uważali armie francuską i niemiecką za nieporównywalne”. Przyznam, iż niewiele poznałem takich konkluzji. Znam natomiast powszechne ówczesne mniemanie, że mimo świetnych tradycji wojskowych i niezłego technicznie wyposażenia armia III Republiki znajdowała się w rozkładzie, czego dowodzić miała choćby afera Dreyfusa (i inne skandale, jak „afery finansowe”).

Z racji moich własnych zainteresowań badawczych za ciekawe uznaję uwagi o genezie wojny amerykańsko-japońskiej w 1941 r. Autor ma stuprocentową rację, wskazując, że przyczyną zarządzonych przez Roosevelta naftowych sankcji, potraktowanych przez kierownictwo japońskie jako wiodącą do wojny prowokację, nie były poczynania Cesarstwa w Azji, ale obawa, że uderzając latem 1941 na Sowiety, przypieczerują one zagładę bolszewizmu (s. 271, 316). Dorzuca jednak zupełnie bezzasadnie, iż nota amerykańska z 26 listopada żądała od Tokio wycofania się nie tylko z Indochin i Chin, ale i z Mandżurii (s. 270 i 271). W rzeczywistości o Mandżukuo nie było mowy, a to, że gabinet Tōjō powziął takie przekonanie, stanowi fakt zagadkowy i zdumiewający. Zastanawia natomiast szczególnie pobłażliwość autora wobec decydentów z Tokio, których ówczesny wybór (wedle Mearsheimera) „nie świadczy o bezrozumnym, pędzie do narodowego samobójstwa, lecz raczej o długiej i bolesnej debacie wobec pytania, którą z dwóch okropnych opcji należy wybrać” (s. 272). Otóż przywódcy, dla których autor jest tak wyrozumiały, dokonując coraz zuchwalszych agresji w stylu pokerowej zagrywki, wpędzili się wreszcie w sytuację bez wyjścia. 50 lat przed Pearl Harbor, w 1895 r., gdy ultimatum trzech mocarstw pozbawiło Japonię owoców zwycięstwa nad Chinami, cesarz Meiji i jego doradcy uznali, że warunki owe – wobec stosunku sił – należy przyjąć. Ich następcy, w istocie nie mając sojuszników, wybrali wojnę z przeciwnikiem dziesięciokrotnie silniejszym. Nie był to bezrozumny pęd do samobójstwa?

Skupianie się na błędach, potknięciach i wątpliwych twierdzeniach autora jest smutnym obowiązkiem recenzenta. Pamiętać jednak trzeba, iż nie ma teorii bez wyjątków, a niewielka liczba tych ostatnich nie może być dowodem jej nieprawdziwości. Dla piszącego te słowa lektura książki Johna J. Mearsheimera była przedsięwzięciem niebywale denerwującym, wywołującym raz po raz odruchy irytacji i sprzeciwu, ale *summa summarum* pasjonującym. Czy praca ta będzie cytowana i zmieni nasz sposób myślenia? Przypomnijmy, iż zalecenia „realizmu ofensywnego” formułował w zaczątkowej formie już Tukidydes, pisząc, iż przyczyną wojny peloponeskiej były potęga Aten i strach, jaki wzbudzała ona w Sparcie. Pozostali badacze dali tylko przypisy.